

Bandyci zabili mi syna

24 września 2009

Mija rok, jak zabili mi syna. Bandyci w czerwonych dresach. Zabili go bestialsko, gdy wracał z meczu. To ja go wychowałem na kibica. Pierwszy raz na trybuny zawiozłem go jeszcze w wózku... Niech ta historia będzie przestrogą dla wszystkich ojców w Polsce. Dziś zawalił się mój świat, juto może się tak stać z waszym.

Miałem tylko jego. „Rolika”. Miałby dziś 18 lat ...

Skąd imię Roland? Bo kiedy się urodził, akurat natknąłem się gdzieś na półce na „Pieśń o Rolandzie”. Pomyślałem, nosimy nazwisko polskiego króla, niech imię będzie od sławnego rycerza. Pojechałem z tym pomysłem do szpitala, żona zdziwiona, bo chciała Andrzeja, Piotra. Ale ją przekonałem. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że zginie zamordowany za młodu jak jego wielki imiennik.

KAŻDY WYNIK ŚPIEWAŁ

To było oczywiste, że będzie kibicem naszej drużyny. Zaraził się pasją ode mnie. W młodych latach sam zjeździłem całą Polskę za tym zespołem: Kraków, Wybrzeże, Śląsk cały, Pomorze. Służyłem w wojsku. Później zostałem kierownikiem hali sportowej. Grała tam drużyna piłki ręcznej naszego klubu. Chciałem, żeby syn został sportowcem. Jakiś czas trenował nawet ręczną na bramce. Ale się zraził. Może mocno oberwał w twarz piłką – w tej dyscyplinie to często zdarza się bramkarzom. Wrócił z turnieju i stwierdził: – Tatuś, ręczna to nie dla mnie. Ja wolę futbol.

Pierwszy mecz? Nie pamiętam już z kim. Na pewno był wtedy bardzo małym chłopczykiem i jeszcze jeździł w wózku. Miał może dwa lata, może trzy. Ale od tego czasu nie opuściliśmy ani jednego spotkania w naszym mieście. Pogoda czy nie, deszcz, śnieg, wichura, nie było odpuszc. Ciągnął mnie na siłę, jeśli

się opierałem. Aż do 17 maja ubiegłego roku...

Gdy miał dziesięć lat. Po raz pierwszy pozwoliłem mu iść do „młyna”, a nie na trybunę główną, gdzie siedział ze mną. Dołączył do grupy zwykłych młodych szalikowców. Z agresywnymi hoolsami nie miał nic wspólnego. Zgłaszał się tam do szefa klubu kibica i dopingował pod jego opieką. Cały czas miałem go na oku. Siedziałem naprzeciwko i obserwowałem, czy się nie wygłupia. W każdej chwili potrafiłem go wyłowić z tłumu. Kibicował normalnie, jak większość.

Kiedy zdał do gimnazjum, zacząłem pozwalać mu na wyjazdy w zorganizowanych grupach, autokarami. Najpierw do tych miast, w których grały drużyny zaprzyjaźnione z naszą. Kupiliśmy mu komórkę. Meldował się z trasy, w trakcie meczu, tuż po nim. Wiedział, że ma nie pchać się tam, gdzie nie trzeba, i tego się trzymał. Taki był szczęśliwy.

Te pierwsze wyjazdy to były wielkie nerwy i dla niego, i dla nas z żoną. Ale jak tu mu nie pozwolić, kiedy tak o tym marzył. Pamiętam zresztą, jaką frajdę sprawiały mi w młodości wyjazdy. A on jeszcze bardziej niż ja przesiąkł miłością do klubu. Swoją pokój wykleił idolami z boiska, w statystykach był nie do zagięcia, nawet z moich czasów. Każdy wynik śpiewał, pucharowy czy krajowy. Lepiej to wszystko pamiętał niż książki w szkole. Groziłem mu, że jak nie poprawi ocen, zawieszę mu wyjazdy. Czasami coś tam poprawiał.

SZLI JAK ARMIA

Tamten sobotni wyjazd do B. miał być normalny jak każdy. W czwartek spotkali się z szefem klubu kibica na rynku pod pręgierzem. Zapłacili parę złotych za ubezpieczenie, dostali bilet wstępu na stadion. Na dziko nie jechali nigdy. Na takie coś bym go nie puścił. Przed wyjazdem poszedł jeszcze do matki do szpitala zapytać, czy może jechać na mecz. Byliśmy już wtedy rozwiedzeni z żoną, ale zgodę musiał mieć zawsze od nas obojga.

Wieczorem uprałem mu cały ubranie. Nawet adidas. Wszystko było po to, żeby następnego dnia pojechał jak zwykle czysto i schludnie ubrany...

Tuz przed meczem zadzwonił do mnie, przekazał krótką wiadomość. Potem już go nie usłyszałem i już nigdy nie usłyszę mojego ukochanego syna...

Nasza drużyna przegrała ten mecz zdaje się 0:3. Grupa kibiców, z którą był Roland – 47 osób z autokaru – nie doczekała do końca spotkania. Wyjechali pod koniec drugiej połowy. Tak miało być bezpieczniej. Autokar konwojował policyjny radiowóz, bo tak jest przyjęte. Wyjazd był zgłoszony na komendę u nas, tam przejęła ich miejscowa policja.

Po drodze zatrzymali się w Walichnowych.. Chcieli w tamtejszym zajeździe. To było z 70 kilometrów od miasta, w którym odbył się mecz. Okazało się, że całą tę odległość przemierzali z nimi chuligani z tamtego zespołu. Zajechali prywatnymi samochodami, zaparkowali na polnej drodze obok zakładów mięsnych. Ze sztachetami, kamieniami, kijami bejsbolowymi w rękach przeszli na drugą stronę ulic. Policjanci schowani w radiowozach opowiadali później, że tamci szli jak armia w czerwonych dresach.

Było ich z 60 chłopów. Najpierw zdemolowali autokar, wybili szyby. Potem ruszyli szukać naszych kibiców po restauracji, parkingu, ogródku. Ci zaczęli uciekać w pole. Roland potknął się i przewrócił. Inni mówili, że dostał kamieniem w głowę i upadł. W każdym razie dorwali go. Rzucili się na niego we trzech. Tłukli kijami po całym ciele. Próbował się zasłaniać. Na rękach zostały ślady – krwawe sińce i zadrapania. Świadkowie z zajazdu opowiadali mi, że tamci katowali go długo. Nikt im nie przeszkadzał. Tylko jakaś dziewczyna krzyczała: „Przestańcie, bo zabijecie dzieciaka!”.

WYSTARCZYŁA SERIA W GÓRĘ

W końcu dali spokój, wsiedli do samochodu i odjechali.

Wszystko to na oczach policjantów. Ci woleli się nie mieszać. Odjechali radiowozem pod drzewa. A mieli kałasznikowy. Tłumaczyli później w zeznaniach, że bali się, by chuligani nie odebrali im broni, bo mogło by dojść do gorszej tragedii. Komendant policji w moim mieście stwierdził, że to bzdura. Wystarczyło oddać ostrzegawczą serię w powietrze i skończyły by się burdy. Nie ma siły, żeby ktoś odważył się zrobić krok w przód pod lufa kałasznikowa. Powstrzymaliby bandziorów. Ale policjanci woleli ograniczyć się do spisania tablic rejestracyjnych.

Dopiero jak bandyci odjechali, wezwali pomoc. Jeszcze pięciu innych chłopaków leżało pobitych na ziemi, z połamanyimi nogami, rękami, rozbitymi głowami. Pierwszej pomocy udzieliła „Rolikowi” lekarka, która przypadkowo przejeżdżała akurat przez Walichnowy. Próbowała go reanimować. Przyjechała karetka, zabrali go najpierw do szpitala w Wieluniu. Ale tam zobaczyli, że nie wiele pomogą, więc wysłali go do szpitala w Sieradzu. Tam o 24 w nocy przeprowadzono trepanację czaszki. Ale jak powiedział ordynator w zeznaniach, nie było czego ratować – mózg wyglądał jak kotlet schabowy. Może gdyby od razu śmigłowcem przewieziono go do dużego szpitala...

ŁEZKA

W tym czasie u mnie na hali było zakończenie sezonu piłki ręcznej. Nasi zdobyli trzecie miejsce. Już w nocy co jakiś czas dzwoniłem na jego komórkę. Dziwiłem się, że tak późno i nie wraca. Ale nie było sygnału. Rano wyszedłem z domu, chciałem jechać do jego matki. A tu mnie łapie kolega, mówi że policja mnie szuka. Od razu wiedziałem, że coś z synem. Policjanci mówią, że Roland pobity, nieprzytomny leży w Sieradzu.

Do samochodu, zięć przyjaciółki prowadził, bo ja nie byłem w stanie. Przyjechaliśmy o 11. Ordynator uderzał Rolanda w nogi i reakcja była. Oddychał, ale powiedzieli, że mózg powoli przestaje działać. Że nie ma dla niego ratunku.

Podszedłem do łóżka. – Roland! – tylko tyle byłem w stanie z siebie wydusić. A wtedy po jego twarzy popłynęła łezka. Jakby jednak usłyszał mój głos. Jakby w ten sposób się ze mną żegnał...

Przeleżał w szpitalu do końca tygodnia. Odwiedzała go klasa z liceum. Odwiedzali kibice. Zorganizowali dla niego zbiórkę krwi. Nad łóżkiem zawisło wiele szalików. Ordynator radził, żeby stawiać mu przy uchu radyjko, żeby do niego mówić. Co dzień kilkakrotnie robiono mu tomografię.

– Zrobiliśmy wszystko, ale nie ma żadnej poprawy – powiedział nam lekarz pod koniec tygodnia.

– Daliśmy mu wszystkie najlepsze leki, jakie mieliśmy. Gdyby to był 70-latek, zrezygnowalibyśmy wcześniej, ale taki młody chłopak to walczyliśmy.

W piątek zrobili ostatnie USG i kazali nam pożegnać się z synem.

Ordynator zapytał nas, czy nie zgodzilibyśmy się oddać nerki „Rolika” potrzebującym. Uznaliśmy, że skoro nie ma dla niego ratunku, niech przynajmniej ktoś tam sobie żyje. O 15:30 komisja uznała śmierć Rolanda. Jego nerki trafiły do... miasta, z którego pochodzili bandyci. Wiem tyle, że otrzymali je 40-latek i 14-letni chłopiec. Więcej szczegółów nie wolno było mi poznać.

BŁACHA SPRAWA

Żeby pochować syna, musiałem dostać zgodę komendanta policji. Ponieważ obawiano się zamieszek, policja obstawiła pogrzeb jak jakiś mecz albo bardziej. Na drodze wszędzie pełno było radiowozów i policjantów, a na samym cmentarzu 30 tajniaków. Niedaleko bramy wejściowej zorganizowali sztab dowodzenia.

Kibice zjechali z całej Polski – Gdańska, Lublina, Krakowa a nawet z Czech – z Opawy. Przyszli działacze klubu, zawodnicy

obecni i byłe gwiazdy. Trumnę owinięto flaga klubu, kibice ufundowali wieniec z herbem i napisem: „Rolika pamiętamy – Przyjaciele”. Gdy trumnę spuszczano w dół, kibice wrzucili do grobu szaliki. Całą kopiastą górę.

Major kapelan ode mnie z wojska pytał podczas mszy żałobnej: – Jak to się dzieje, że niebezpiecznie jest nawet wyjść do kina czy na stadion? Skąd tyle nienawiści w społeczeństwie ? Trzeba mieć Boga w sercu, on nakazuje kochać drugiego człowieka. Jesteście wspaniali i pokażcie to na stadionie, choć wiem że nie jest łatwo kochać kogoś z drużyny przeciwnej.

Kibice często przychodzą na cmentarz. Stawiają znicze w trzech kolorach klubu. Niestety, nie tylko oni. Grób już dwukrotnie zdewastowano. Za pierwszym razem ktoś ukradł flagę klubową z masztu, który tam postawiłem, i szalki z krzyża. Za drugim razem krzyż i pomnik ze zdjęciem syna oblano woskiem. Zniszczono i przewracano znicze. Może nie powinienem był umieszczać herbu klubu na nagrobku i stawiać masztu z flagą? Z pomysłem flagi wystąpili kibice. Zgodziłem się, bo te symbole były dla „Rolika” tak drogie za życia. Właściwie to za nie zginął. Na nagrobku kazałem wyryć: „Największą miłością jest pamięć”.

Nie sądziłem że po śmierci Rolanda coś jeszcze może spowodować ból, a jednak tym wandalom się udało. Czemu nie dają mu spokoju nawet w grobie. Ani policja, ani prokurator nie chcieli szukać sprawców. Powiedziano mi że sprawa jest zbyt błaha.

FOTOGRAFIA

Taka reakcja organów ścigania zbytnio mnie już nie zdziwiła. Wcześniej otrzymałem bowiem zawiadomienie o umorzeniu postępowania w sprawie śmierci mojego syna z powodu niewykrycia sprawców. Postępowanie trwało dziesięć miesięcy. W tym czasie przesłuchano właścicieli aut, których numery zapisała policja. Ci zeznali, że jeden był u siostry, drugi u

brata, trzeci u rodziców na działce, czwarty pożyczył komuś samochód. Prokuratura uwierzyła we wszystko. Nie pokazała ich zdjęć pozostałym pobitym kibicom z autokaru. Nie doprowadziła do konfrontacji.

Mam nadzieję, że zrobi to prokuratura okręgowa, która obecnie przejęła sprawę. Bo choć życia synowi nie wrócę, jak chyba każdy człowiek chciałbym, żeby sprawcy ponieśli karę. Zwłaszcza że prawdopodobnie ta sama banda niedaleko od tego miejsca napadła na pociąg z kibicami innego klubu i doszczętnie go zdemolowała.

Przestałem chodzić na mecze piłki nożnej. Nie jestem w stanie pójść na trybunę, gdzie jest tłum roześmianych, skandujących kibiców. Oglądam tylko mecze piłki ręcznej, które odbywają się w mojej hali, ale tylko z obowiązków służbowych.

Mam fotografię z tego ostatniego meczu „Rolika”. Trzyma na nim klubową flagę. Chyba coś śpiewa. Jest taki spokojny. Przed nim całe życie...

Autor: Piotr Kaszak

Źródło: [iThink](#)

PS. Na szczęście nie zdarzyło się to mi, ale artykuł niestety jest prawdziwy...